

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janusz Kryszak

Czwarta dekada

Wiersze wybrane i nowe

Pamięci Rodziców

Tower Press Gdańsk 2002
Copyright by Janusz Kryszak

Coda

Całe moje dzieciństwo
zamknięte teraz jak martwy owad
w bursztynie tego jednego słowa
nie

nie zdążyłem zapytać

nie zdążyłem opowiedzieć

mój telefon milczał
albo ograniczał się do kilku zdawkowych słów
życzeń zdrowia i tak dalej

nie zdążyłem pokazać lipy i brzozy
chroniących mój dom nad jeziorem

nie zdążyłem powiedzieć jak jestem szczęśliwy
gdy obłok zamyka o zmierzchu niebo przestronne
i świat milknie przed wieczornym turniejem ptaków

nie zdążyłem na nic
prócz miłości tak oczywistej
ze nie zajmuje ona naszej uwagi
i nie domaga się niczego

całe moje życie
zamknięte teraz w pudełku nicości

stuka jak kołatka
w twarde wieko snu

ANIMA

Anima

Jęczy i popiskuje głosem skrzywdzonego dziecka.

Boli. Gdzie boli? Wszędzie
i wszystko. O, tu pod trzecim zębem
z lewej strony i tam pod łopatką wystającą,
i w mięśniach nad obojczykiem kiedyś złamanym.

Schwytana w tym, co nie moje,
w klatce jednego ciała, już starzejącego się
w pośpiechu, jęczy tylko: Boże mój, Boże
nie zapomnij o mnie.

Kostka domina (I)

czzerwcu upalny, bezgłośnie
trzepoczący na ościeniu słońca,

ujawnij to, co chciałbym zachować w tajemnicy.

Obłoki twoje są równie skryte,
jak milczenie ludzi.

Rzeczywistość

Nie gasną światła w budynku wyższego seminarium
choć dawno minęła północ. Z topoli na topolę
niespokojny sen przegania wrony. Wzlatują gromadnie
z ciężkim łopotem skrzydeł i przekrzykują się
w niezrozumiałym języku.

Na płycie boiska
czarne sylwetki kleryków i zakonnic w rytmicznych
podskokach. Ubijają stopami świeżo spadły śnieg.
W szybach już poszarzałych więzną ich głosy radosne,
krzyki i śmiech.

Z rzeczywistością co zrobimy?

To drzewo rosnące na naszym oddaleniu; jego listki
wędrowne, dochowujące wierności, powrócą niebawem,
niech tylko opadną zimne nocne mgły.

Odkładam książkę. Dzieli nas kilka mórz i szary
jak okładka wierszy ocean. I lata, samotne lata
poławiacza słów: dnem uciekają w ciemnych wodach
pamięci. Nie do uchwycenia.

Z rzeczywistością co zrobimy?

Praca, czuwanie, płytki pod powiekami sen jednak
ćwiczą nas w sztuce oderwania.

Co bezkształtne i niepoliczalne rzuca teraz wokół
ogromny na wszystko cień.

Do Cyganki rumuńskiej zebrzącej na stopniach kościoła

Nie wiem, co mówisz do mnie w swojej niezrozumiałej mowie.
Może to wiersze giętkie z rozmyślań biednego Dionisa,
gdzie Cygan łokciami nagimi świeci na wietrze
i czeka
zmarznięty i głodny,
czy się pogoda przetrze.

Kostka domina (4)

Widziałem nad ranem stepującą kobietę
i był to najpiękniejszy taniec godowy
w uśpionym parku pod wysoką kopułą drzew.

Ale tu, nad rzeką pełną bobrów, w krainie
czarnych wiewiórek i krzyku dzikich gęsi,
wszystko jest możliwe.

Zwłaszcza teraz,
gdy wiatr, pasterz niecierpliwy,
przegania z miejsca na miejsce
suche liście klonów,

a miękki język Humber River ze smakiem
liże pierwsze promienie
chłodnego słońca
nieświadomy mej obecności
na odwiecznym turnieju stworzeń.

Mississauga, 1998

Wielka księga owadów

zmiana barwy w górnym punkcie
wyłupiastego oka odwłok krótszy
o mgnienie przezroczystych skrzydeł
błąd niepojęty w genetycznym kodzie

nic nie ratuje

już wytropiony na zawsze schwytany
w siatkę biegnących drobnym ściegiem liter

jest ciepły marzec nie było zimy
wsparty o półkę na zapleczu księgarni
przeoglądam karta po karcie
wielki album owadów

nie dać się ponieść nadziei
tanecznym ruchom jej lotnych skrzydeł

ten gwar radosny nie na twoją cześć
zgiełk gorączkowy nie na powitanie ciebie
pełno głosów nie wiadomo skąd nawołują się
spieszą powtarzają siebie wieloma echami
więc głowy uniesione i cisza zapada

nie odstępuj rozpaczy ona jedna wskaże ci miejsce
w wielobarwnym katalogu istniejących stworzeń

W wiecznej chwale

Nie będziemy fotografować natury.
Ani zabiegać o przyjaźń niemego łabędzia.

Nasze ody i pieśni codzienne nie otworzą
granic milczącego królestwa innych.
Choć co jest inne, niekiedy skrada się
ku nam i długo wpatruje w nas nieruchomymi
oczami.

Nie będziemy fotografować natury.

Wdzięk jej i małomówność stworzeń
słusznie zostały potępione.
Choć na starych obrazach można ciągle odnaleźć
zarys uwodzicielskich rozkoszy, które zwodzą
patrzących w bezkresne wnętrza łąk i gajów.

Odrąceni,
nieudolnie z kamienia i błota budowaliśmy dom,
ale czas pracował dla nas. I teraz nasze miasta
nie mają sobie równych.

Jeszcze tylko niewielki wysiłek i potem
już zawsze jedynie jaspis i kryształ,
poza dniem i nocą, bez słońca i księżyca,
bez magicznych sztuczek zalotnej natury.

Ale w wiecznej chwale

doskonałej samotności.

Kostka domina (3)

nie nalegam

nie proszę

unikam marzeń

czas przyszły zamykam
w tu i teraz

wyobraźnię ćwiczę w ascezie
to znaczy w sztuce rezygnacji
z planów projektów
niewczesnych zamiarów

w bezsenne godziny przed świtem
odmawiam tylko różaniec
zdarzeń minionych

czas przeszły dokonany
wypełnia gęstym światłem celę snu

przemilczam imię
unikam słów na literę b

w bez–czasie i w bez–przestrzeni
pracuję wytrwale na swoją

nieobecność

Album rodzinne

Wuj pochylony nad sztalugą
maluje martwą naturę z czerwonymi jabłkami
głęboki cień spływa z zielonej misy i bordowej kotary
a podniesiony z emocji głos wuja roztacza
przede mną zalety malarstwa Poussina
gdy ja bronię z chłopięcym uporem
czystej fikcji bezprzedmiotowego widzenia
bo drażni mnie jeszcze nadmiar szczegółów

Nad kanałem korony drzew jak chmury
nisko wchłaniają smród płynących odpadków
i z ulicy długiej o szyby uderza zgrzyt tramwaju
a wuj szczęśliwy wyjmując z duchówki
dzbanek mocnej czarnej kawy

Fotografia

Patrzę teraz na to zdjęcie bez bólu.
Choć pamiętani skrzywienie warg,
dłonie zaciśnięte na poręczy fotela
i łzę szukającą drogi między zmarszczkami.

To było. Ale teraz jest tylko światło,
które powoli, sobie jedynie znanym sposobem,
wchłania do wnętrza fałdy sukni, korale na szyi
i nieuchronnie zbliża się do twarzy.

W niej oczy jeszcze nie tracą nic z czerni
retuszowanej przez małomiasteczkowego fotografa.
Jakby wiedział, że gdy znikną wszystkie kształty,
zarys postaci i meble, zostaną one, śledzące mnie
z czułością, gdy wszystko w świetle wiekiustym
ubywa.

Jak ubył głos, już mi dziś nie znany, choć może
rozpoznałbym, gdyby za chmurą zawołał ktoś, że
jestem już wezwany.

Kostka domina (8)

W połowie lutego
a w słońcu prawie wiosennym
wśród drzew
na cienkiej nitce
ptasiego głosu

moja niewypłakana łza

Grób Apollinaire'a

(fragment)

Autobus nad ranem cały drży od chłodu.

Drugą dobę jechałem okrężną drogą, by na Pere Lachaise,
[odwiedzić grób
Apollinaire'a, nie wiedząc czy to szczęśliwy pomysł:

Pasterko, wieżo Eiffla, nie zaspokoisz mego głodu.

W milczeniu wypatrywałem za autostradą zarysów miast, które
[wedle trzymanej
na kolanach mapy powinny tu właśnie być. Ale nie było ich.

Więc odbywałem tę podróż w przestrzeni oczyszczonej z widoku,
zliczając kilometry z mijanych tablic i drogowskazów,
pijąc kawę z plastikowego kubka, bulion i znowu kawę,
[z dolewającym ukradkiem
za oparciem fotela alkoholem.

Różowa ściana Lapin Agile zdała się zamykającym wszystko kołem.

Usiłowałem przypomnieć sobie kilka fraz czytanego kiedyś wiersza,
[o poecie
śledzącym bieg mrówki po rękawie sztruksowej marynarki.

Ale daremnie zaglądałem w zakamarki pamięci.
Ich ciemność nie kryła niczego, czego bym wcześniej nie wiedział,
a to czego chciałem się dowiedzieć było daleko ode mnie,
pod białym granitem o dwuznacznym kształcie,
z napisem już wytartym przez czas, kwaśne deszcze i słońce ostre,
[jak dłuto,
którym zbija się z kamienia zbędne litery.

Pytałem czekając odpowiedzi.

Ale w nisko wiszących gałęziach smużył się tylko słodki zapach
palonej trawy i szmer obcych głosów.

Piasek i drobny żwir przesypywałem lekko między palcami jak
[paciorki
różańca, powtarzając monotonna: ojciec nasz, któryś jest na ziemi,
napelnij nas światłem między wierszami.

Mazahua

obrazów piekła i nieba nigdy się u nich
nie malowało

a nam zabrakło subtelności umysłu
i woli oderwania

w książkach symfoniach obrazach na przemian
od stuleci ściga nas lament potępionych
i sterylne pienia chórów anielskich
odmykają obłoki

a trzeba nam było jak oni uwierzyć
w jedyną realność
Wielkiej Poczkalni

i nie dociekać co znaczą i do kogo należą
głosy za drzwiami

ani ćwiczyć wyobraźni
w jałowej dyscyplinie
nagrody i kary

Do szpaka

Twoja zapobiegliwość budzi zdumienie
podobnie jak niezrozumiała wierność
tajemnemu nakazowi, by każdego roku
wracać w to samo miejsce wyznaczone
pochyłością dachu, linią parapetu
i futryny okna.

Jeszcze w powietrzu snują się srebrne nitki zimy,
a ty już stukasz, niecierpliwy, pazurkami,
okiem nieruchomym zaglądasz do mnie przez szybę.

Powrót oczekiwany przeze mnie znowu więc spełnia się
i patrzę zdumiony z jaką pilnością prac
przygotowujesz przylot ukochanej.

Kostka domina (5)

Obca kobieta opowiada mi o swoim pragnieniu czułości.
Dotykam tylko, nie używając głosu, bez słów.
Ma piękne ciało i chłodne palce, gdy po skórze policzka
przesuwa je wolno w stronę moich ust.

Wszystko gotowe na krzyk radości, wargi półotwarte
i żyłka na jej szyi pulsująca krwią. Tylko myśl
i pożądanie wiodą jeszcze spór. A ona czeka

na suchy trzask metalu o metal, gdy pod palcami
ustąpi nagle zapinka paska.

Czysty obraz

Las się powtarza w jeziorze
i jego cienie coraz bliżej
zamykają widnokrąg.

W uścisku pieśń pożądania
tuli w ramionach
co przeszłe i przyszłe
i pozbawione ciała.

Drzewom i jezioru na wieczne przemijanie
powierzam czysty obraz kobiety i mężczyzny
gdy brną przez wodę
w siebie zapatrzeni.

Kostka domina (2)

Idą niespiesznie cienie wieczoru,
więzną wilgotne w załomach ramion i ud
aż wargi je odnajdą i zamkną w długi werset czułych słów.

Nagość wyluskaną z prześcieradeł nocy
echo przywoła kształtem odbitym w pościeli,
kiedy ciepło innej dłoni ciało pożądane w bukiet mgły przemieni.

Dar natury

W zimowe wieczory pochyleni nad stołem
w wynajętym za niewielkie pieniądze pokoju
gotowaliśmy cienkie kości i maleńkie czaszki
schwytych w starym forcie nietoperzy.

Tkliwy wzrok uczonego biologa
nie mógł oderwać się od przezroczystej kolby
w której wnętrzu bulgotały i syczały pary roztworu.

Chłód przenikliwy nie pozwalał otwierać okna
więc wdychaliśmy smród zmacerowanego ciała
czekając na ruch ręki która zgasi
spirytusowy płomień

i rozłoży na szklanej płycie
wypolerowane w ogniu i wodzie kostki
by mozolnie składać je teraz
w pełną doskonałego piękna
harmonijną jak dar natury
zdumiewająco szlachetną

całość.

Kostka domina (6)

Lipo bezpłodna brzoza
i ty wąty jak rąbek światła na jeziorze
krzaku bzu

czuwajcie
nad mym krótkim snem

Wieczór autorski

Stary poeta
mówi o dolegliwościach ciała

ono marnieje

niskie ciśnienie
domaga się mocnej kawy
kieliszka koniaku
ale prostata ostrzega
to nierozważne

ciało ma swoje wymagania
uczę się słuchać jego praw

W połowie wiersza
zamiera głos poety

poeta wyciera nos
pije wodę długimi łykami
patrzy na salę pełną złocień
i milczy

słowo po słowie
ginie między wersami

Kostka domina (7)

Powoli, powoli serce moje. Nie przyspieszaj,
rozważnie przeliczaj dane ci paciorki krwi.
Ta, na której widok dławisz się i zamierasz,
nieuchronnie odchodzi w jedwabnym płaszczu mgły.

Ciało moje (2)

Ciało moje
otacza mnie szczelnie
opina gęstą siatką mięśni i żył
które teraz po latach
marnieją ale dość jeszcze silne
by uniemożliwić wyjście
z wnętrza ciemnego
na światło bez cienia
na przestrzeń bez horyzontu

CIAŁO MOJE

Odosobnienie

Od kilku godzin pada ulewny deszcz, a włosy, twarz i ramiona pozostają suche.

Rzecz każda ma ostry zdecydowany profil i nie przyjmuje dotknięcia.

Trwają odłączone.

Po zmianie adresu

Po zmianie adresu
coraz chętniej samotnie
w szczelnym kręgu mechanicznej **muzyki**
rozważając losy nie znających mowy

Pilnuje mnie drzewo za oknem
ono jedno jest wytrwale
niespiesznie i z wysoka chwyta **w światła**
mój mijający czas

Blisko
w wyobraźni
wszystko jest zrozumiałe
istnieje samo przez się
i nie domaga się uzasadnień

Im dalej
na powierzchni życia
tym większy zamęt i triumf
rzeczy zawiłych

niewpewne
nie dają się osiągnąć
ni ręką ni słowami

Klucz dzikich gęsi

Niewysoko lecąc oznajmia radosnym ożywieniem swoje przybycie klucz dzikich gęsi.

Miasto w niepewnej godzinie wczesnego zmierzchu pochyla się w stronę rzeki i oddycha z ulgą, śledząc lot wysłanników odłączonej natury.

W polu widzenia

Spójrz teraz na mnie. Delikatne włókna siwizny
wkradają się w moje włosy i gorzki uśmiech ironii
odmienia wypowiedane słowa.

W wieku już średnim,
w świadomości ograniczeń
mój tymczasowy dom.

Dlatego musi starczyć tych kilkanaście metrów nielegalnej
przestrzeni.

Na co starczyć? Na ciągłą nieprzeniknioną
tajemnic ciała, na lot bioder
w ciemność orgazmu, na echa nie milknące
naszej z wiecznością rozmowy.

Kwietniowy dzień zanosi się i wypełnia milczeniem
i coraz trudniej pogodzić się z bólem.

Ciągłe dlaczego brzmi niewinnie na tle ciemnej plamy
pobliskich drzew, spojrzeniem wypełnia wczesną zieleń.

Puls ginącego w mgnieniu powiek ciała
jak rytm słabnącego dnia

i wszystko nadal nie przemyślane.

Milknie niebo

Milknie niebo sierpniowe. Szpeci je blizna
po przelocie odrzutowca.

Niepokój, obejmując mnie ramieniem, zamyka mi usta.

Chroń, naturo, przed samotnością wiecznego czuwania.

Ból ciała...

Ból ciała zbiera godziny i wiąże je w supły jak pismo węzełkowe dawno zapomnianego plemienia.

Ani taniec na wietrze wstążki postrzępionej, ani gałązka w pół przełamana, ani kamyk na ścieżce porzucony

nie naprowadzą na zagubiony ślad.

Samotnie tam gdzie pulsujący rytmicznie brak rozrywa serce.

Refren oczekującego

Ona przyjdzie, ona wkrótce musi przyjść,
po to przecież są te schody i te białe drzwi, żeby ona mogła wejść,
tylko dla niej ta ulica wysadzana topolami, drżących cieni wonny
[liść

po to przecież jest ten dom, żeby mogła w nim zagościć,
wymyślony, budowany, więc jakżeby nie miała przyjść,
ona przyjdzie, ona wkrótce musi przyjść.
Już rozlewa się jej twarzy coraz głębsza czerń...

Szukałem znajdując

Annie

szukałem znajdując to tylko co przypadkowe
barwy zapachy kształty ledwo zarysowane
sen ścierał spod powiek obrazy
i ginęły pośród łakomych siebie ciał

to niepojęte mówił więc pędzel się wzbrania
i ciągle drażni oko płótno rozpięte

kusiły mnie szczelne zasłony
ciężkie półmiski wypełnione owocem
ukryty zegar między nimi

kołowrót woni wabił nozdrza
i nie mogłem schwytny dojść do granic obrazu

a tam wir obłoków
stukot godzin odmieniających ciągle pory roku
i nic stałego z ludzkich rzeczy
wszystko wsysa czerń czasu i umysł zmaci
kto wyrzy poza ramy obrazu

i teraz tylko tych dwoje
na pniu leżącym w poprzek leśnej drogi
milczą bez wiedzy o tym że mijają siebie
sobie przeznaczeni

Nowa ziemia

Mało znam słów po latach milczenia. Przepadły
Twarze, losy zaczęte, rzeczy przyjazne.
Język im wszystkim poskąpił uwagi. Wnętrza ich
Stoczył bezwzględny czas i zatopiły nieme wody.
Byłem nieznany. Sam tak wybrałem.
Długie wakacje pod niebem łagodnym, w oku
Kobiecym czujnie schowany. Teraz zaś nagi.
Na brzegu bijącej o skórę mowy. Opada zmęczenie
By czas zazdrosny nie schwytał nigdy za słowa.

7

Oda do słowika

Tak dziś niewidoczny
że tylko w słowach mignie rdzawe piórko

Stroszy się
pewny swej przyszłości
mimo braku pamięci
pod olszą wątłą
wyczerpaną kurczowym trzymaniem się
przybrzeżnego piasku

Drzewo ma łuskę szarą
i korzenie nagie wystają
z przykrytej mrokiem ścieżki

Na języku gorzka ślina
wiąże słowa które sobie przeczą
życie z nich ujdzie przed jutrzejszym ranem

Dzieje widzi
a sam nie ma dziejów
tylko wysiłek i nawyk natury
powtarzającej mozolnie to samo wcielenie
od niezliczonych pokoleń

Przez ciekawość dla tego co widzialne
i brak odwagi
by wszystkiemu nie tylko wybranym dać
jeśli nie wieczność
to choćby pamięć?

Ty wiesz co znaczy być tak ukrytym
by nie mogły wytropić cię przemiany pokoleń
uparcie tylko drążysz świdrującym głosem
zamknięte wewnątrz leżącej nisko ziemi

A ja na powierzchni
widoczny cały
i nic mnie nie chroni przed jutrzejszym ranem

Spójrz na olszę i patrz jak drży

John Keats zmęczony
głowę ciężką na zgiętym ramieniu położył

już śni

1990

Ciało moje

ciało moje

karmione białkiem wyobraźni
ćwiczone dyscypliną nadziei
mimo to ciało moje nie przestaje być
fizyczne jak obłok
przemieszcza się w przestrzeni

ciało moje
ustami powietrza
módl się za nami
których już nie ma

Mężczyzna którego widziałem dwa albo trzy razy

Mężczyzna którego spotkałem dwa albo trzy razy
w tym samym niemal miejscu ruchliwej ulicy
wciąż pozostaje kimś bez imienia.

Więc jestem wolny mimo natłoku wyobrażeń?
Raz jest chłopcem nieledwie tak miękkim ruchem
skrajem prawej dłoni oczy osłania przed lipcowym
słońcem lewą trzymając w płytkiej kieszeni.

Potem dorosły w martwe południe drzemie znużony
pod pomnikiem Kopernika z muchami dialog prowadząc łaskawie.

Te dwa spotkania nie budzą wątpliwości
to tylko trzecie już nie jest tak pewne gdy
widzę go jak środkiem chodnika biegnie
potrącając przechodniów.

Dostrzegam tylko ostry starczy zarys głowy
reszta w strugach deszczu się rozmywa.

W Kew Gardens...

W Kew Gardens idąc krok w krok z poetą hermetycznego języka przystanęliśmy na moment.

Nie ekspresyjne cedry, sekwoje o miedzianobrazowych pniach, bananowce, papirusy i kolczaste bukszpany. Nie rododendrony i uzbrojone araukarie, ale grusze japońskie rozpięte na murze.

Ich ból, miesiącami nie ustępujący ból rozciąganych absurdalnie tkanek. Gwoździe srebrne między omdlałymi włóknami.

I pod słońcem zaciemnionym

wszystko jest gotowe na przyjęcie ofiary.

Głos i przedmiot

Jest głos którego nie słyszę
a draśnięty nim w locie ptak wiosenny upada nagle
z kroplą krwi przepelniającą rozwarte gardziółko

Jest przedmiot którego nie widzę
a wiruje on w słonecznej przestrzeni To oko ciemne
łzę roni czerwoną i wypatruje i płoszy ptasią źrenicą
ludzi rzeczy ich cienie

Pamiętnik

Mężczyzna trzydziestoletni myśli o sobie w czasie przeszłym.

Wsparty o ciepłą ścianę domu
z głową ukrytą w złocistej mgle
jest chłopcem zasypiającym w słoneczne południe
utrudzony gonitwą skokami czujnym pochodem
tropiciela przemieniającego ciasne podwórko
w dno górskiego wąwozu na którego zboczach
płoną nieprzyjacielskie ognie wybuchają odbite
w szybach okiennych iskry
podchwytuje ich ginące bezgłośnie sygnały
śni

Wyciąga do nas szczupłą dłoń dojrzewającego mężczyzny
z ukrytym w niej pamiętnikiem trzydziestoletniej podróży
kruszą się jego białe rozsypujące się w złotym żarze kartki
i tylko palce brudzi tłusty rdzawy pył.

Idzie przez podwórko chłopiec zatroskany
południe głowę mu spowija w słoneczne bandaże.

Dar

To jest ów dar
ofiarowany krótko żyjącym
na pocieszenie.

Bezsenne noce.
Bezsenne dni.

Powieki opadają
i unoszą się.
Niestrudzone.

Tylko wokół na mgnienie nieruchomy
roztacza się świat
na lotnych piaskach języka.

Bezsenne noce.
Bezsenne dni.

Fale unoszą się
i opadają.
Nieznużone.

Na ruchomych wydmach mowy
osuwają się wielkie cienie miast
i przemykają krajobrazy.

Ani wołania, ani smutku, ani bólu.

Martwa natura

Jest muszla morska szklanka na stole
książka otwarta w miejscu dedykacji

Różowe wnętrze muszli sączy miękkie światło
rozkłada porządek rzeczy

I oto
stoję we wnętrzu przezroczystego drzewa
nade mną suchy obłok
odmierza czas

Malarstwo

Krystynie i Edmundowi Puzdrowskim

Weźmy na przykład malarstwo: istnieje tylko świat powtórzony;
jak płonie ta kula całym swoim wnętrzem,
jak się wyłamuje z jaskini bezświetlnej
ta źrenica mroku – w niej powstające na moment widziadła.
*(O, pędzi w ciemność ich strzelisty płomień: wzlot ramion,
pęd ramion, przezroczysty ponad nimi dym).*

Weźmy za przykład malarstwo: nic nie sprosta powstającym
z upadku pożarom, iskrom złorzeczeń wybuchającym ponad
[głowami,
ta kula wyprowadzi z bezwietrznej jaskini.
Za moment eksplozja:
w gęstniejącym mroku biały gołąb płonie.
Ta wiara, ta wiara w malarstwo – ilu już było przez nią
[potępionych?

Nic

Ptak znany mi tylko z przecucia
z – nie dającego się słyszeć – milczenia

skrzydła prostuje w zachłyśniętych sobą ustach
Nic wypełniająca najmniejszą szczelinę
wciśnięte między włókna powietrza
Nic które – zdaje się jednak – napinać
mięśnie przestrzeni

Skore więc do istnienia
choć nie do wypowiedzenia
głuche na jawne i tajne zaklęcia
za najlżejszym tchnieniem nieopatrznej mowy
tracące nawet ten pozór istnienia

Ptak nie do potwierdzenia
ale też nie do zaprzeczenia
nawet nie wzięty z powietrza
a tak niebywały

To nic
budzi się do istnienia

Życie wewnętrzne

W połowie października słucham głosów niewidocznych ptaków;
po dwa, po trzy stukają w zamknięte drzwi powietrza.

Nie znam godziny przeobrażenia. Pragnienie, które każe mi
czekać porusza moim sercem i bije ono w rozwartym wnętrzu
krótkiego dnia. Wierzchołki drzew, na które patrzę z wysokości
mijających czasów odmieniły barwy i nie mogą zatrzymać mego
spojrzenia.

Jeśli możliwe to, niech się nie broni świadomość i przyjmie wy-
zwanie powagi. Mężczyzna wyniesiony falami toczącego się czasu,
nagi jak w pierwszym dniu stworzenia, słucha głosów
pamięci i nie pojmują się nawzajem. Niemożliwe więc nie do
spełnienia zakreśla daty nadziei i żadna wiedza nie składa się
we wspólny czas.

Powietrze jeszcze dyszy i drżą na twoim oddechu moje słowa, cień
przelatujący wysoko schwytny więźnie w łuskach powiek,
obejmij mnie dopóki jeszcze dotknięcie ramion ugina zwięzający się
z dnia na dzień widnokrąg i odsłania skryte wśród przemilczeń
pole widzenia.

Nie znam godziny przeobrażenia. Jak ciche są kroki, których
suchy stukot powtarza moje serce. Starannie odmierzaj uderzenia
pulsów październikowego dnia.

Światła bezładne lecą przez drzewa i nie milknie wokół las.

Mała elegia

W ciemnym pokoju. Gdy noc bezsenna wokół trwa,
I pora natarczywa odbiera spokój nawet rzeczom,
Te też bezsenne, jak i ja, gubią się w sobie,
Obrotem serca w ciemności własne lecą, w chwilę
Bez czasu i bez dna; w skurczu bolesnym czuwa
Pokój, sprzęty, przedmioty, ściany i podłoga,
Czuwa bezsennych dwoje oczu, pościel i pamięć,
Nowe i stare nie śpią słowa; to co przede mną,
Co za plecami, gdzie krzyżem ramy okiennej
Na śmierć rozcięta twoja twarz, wszystko coś
Mówi suchymi wargami i wszystko nie śpi, nie
Mija czas; każdej głosce twojego imienia, choć
Nic to nie zmieni, przez topiel bezsenną daję
Znak, zamknięty nocą w czterech ścianach
Miłości i bólu, wiary i nadziei.

Autograf

Myślał: jak wiele jest mi dane, że mogę tak, nie skarżąc się i nie czyniąc nic użytecznego, siedzieć na brzegu płytkiej rzeki, w dolinie Brdy, i patrzeć jak podmuch wiatru porusza trawami.

Żadnego wysiłku, tylko chłód wieczoru.

Płacz, ból i lęk, z jakiegokolwiek byłyby przyczyny, trudno, to się zdarza. Nie będzie sądu, przestronne jak źdźbło trawy są wnętrza rajów.

Biedny, biedny swą daremną wiedzą o rzeczach, którym brak imienia. Otwarte i przezroczyste jak ta wokół kołyska powietrza co jest i nigdzie nie rzuca cienia.

Zawierając zmysłem tylko, ciągle trafiam na opór. Oko nie tak widzi jak mogłoby. Ucho nie to słyszy, czego oczekuje. Przedmiot dotknięty mówi jedynie: dopiero co byłem, szukaj mnie w składni zapadających się czasów.

Kto dziś pamięta karczmarza Perulkę? Nikt. Nazwisko jego odnotowała czyjaś zapobiegliwa ręka na karcie gospodarskiej księgi z początku ubiegłego stulecia. W grubym zeszycie dużego formatu gospodyni podupadłego majątku szlacheckiego, gdzieś w okolicach Wilna, spisała nie tylko cały swój rodzinny dobytek (kieliszków sześć, pałaszów dwa...) ale i różnorakie przepisy kuchenne, środki lecznicze, domowe praktyczne porady. Gdzieś na marginesie zapisano też skromne ilości spirytusu przekazywane z domowej gorzelni niejakiemu Perukę, karczmarzowi. Zapewne Żyd rezydujący we wsi.

On był rzeczywiście i nim kartę obróciłem całe jego życie, nie znane mi, raz jeszcze minęło. Pod wyblakłą literą sucho płoną wypatrujące mnie oczy.

Nocy bezwzględna, łożo w oku wyzutym z pragnienia, godzino sobą tylko wezbrana, zmieszczę was w otwartej głosce jednego imienia.

Boli mnie serce
i drętwieje ramię.

Druga w nocy, czytam zawzięcie długi poemat:

*Światy apokaliptyczne
macie jeszcze piękną rolę do odegrania.*

Szedłem z córką

szedłem z córką
przez wycięty las potykając się
o porzucone na ścieżkach gałęzie

zaledwie rok nieobecności
a zmyliły mnie wszystkie drogi

patrzę przezroczystym okiem
jak kołysze się miarowo
olbrzymia kołyska powietrza

wypadłem z niej
i dziecko obok uczy mnie teraz chodzić

25 lipca 1983

Podmuch zimowy

Moje dawne ręce pod pierwszym niebem dotknęły ciała rzeczy i wieczność przemija w powiekach znużonego.

Teraz światło przezroczyste otwiera niski horyzont, kawki i gawrony niosą na skrzydłach mokre powietrze strząśnięte z wierzchołków drzew. Między doświadczeniem a zwodniczą prognozą pali się krótko, w szczelinie narodzin, dzień.

Przeoczyłem co miało nadejść, a co nadeszło w oznaczonym czasie.

Nie można uczynić więcej kiedy zjawiasz się przede mną. Czas szlifowany pamięcią nie nauczył mnie odwagi. Wybrałem to, co mnie zawiedzie: ciało niknące w szczelinie dnia.

Czterdzieści trzy lata temu kobieta i mężczyzna podobnie brali w ramiona podmuch zimowy, co przewiał lękiem ich płytki sen. Miasto zajmowali nowi twórcy dziejów, a oni patrzą na siebie spod przymkniętych powiek, świadomi niewiedzy jaką zbierze syn.

Nie można uczynić więcej, kiedy zjawiasz się przede mną zamknięta w głębi własnych namiętności. Na każde słowa czeka inna pamięć i każdej mowie ciągle brak jest głosu.

Mówię do ciebie ty i my i płoszy nas to imię, które pragnę zataić.

22. XI. 1988

Pytanie

Czy nigdy nie pomyślałeś o godzinie,
Gdy ciało odsłoni nagość niepełną
I czas wzrok swój obojętnie przesunie
Nad kształtem niegdyś pożądanym.

To co słyszysz, niestrudzony, to tylko
jałowy bieg serca
w bezcielesnej przestrzeni.

Sen

Sen wielki jak czas wezbrany śnił między nami,
dotykał czoła, w ramiona brał głowy, od słów odchodził,
z pamięcią i pożądaniem w zmowie i była cisza,
spokój zalegał w kącikach powiek, prostował zgięcia
świeżej pościeli, w oknach przesuwiał lniane zasłony,
każdej pieśczoły było mu mało, ruchem powolnym
zagarniał dłonie, poduszki poprawiał, sięgał do bioder
bezcieleśnymi chcąc uczynić ciała, z podziwu milknął
w nagłej pokorze i układał się tak między nami
sen wypełniony sobą jak przyptywem morze.

Bije godzina i się powtarza. Kwiecień wciąż wraca
w piątej swej dobie. Miasto otwarte błyskiem poranka
jak ciało się gubi w objęciach kobiet.

Sen wielki jak czas wezbrany śnił między nami,
palcami lekko po skórze wodził, piersi nabrzmięte
muskął wargami, ciała zgubione sobą osłaniał, był
składnią żywą wspólnych oddechów, porządkiem rzeczy
i częścią mowy, szeptem nakłaniał, kusił i zwodził,
wnikał i wtulał, pragnień nie taił, kładł się najczulej
na biodrach nagich, niżej się zsuwał, do ust znów
podchodził, w powietrze się wpierał mocnymi stopami
sen tak napięty jak wielkie przestworze. I nagle zamilkł.

Bije godzina i się powtarza. Kwiecień wciąż wraca
w piątej swej dobie. Miasto otwarte błyskiem poranka
mężczyzn zamyka w objęciach kobiet.

I leżą wspólni. Choć nie bliscy sobie.

Części mowy

Moja obecność gubi się dziś w długim spojrzeniu miasta, po którego ulicach niecierpliwa miłość krąży.

Duch niezależny, pozbawiony pychy, zrozumienia szuka u ludzi przypadkowych.

Co może mężczyzna z martwym czasem w ramionach, zamknięty w rozstrzygającym milczeniu. Nie wie już do kogo należał głos, w jakiej dzielnicy zostawił dom przestronny.

Po bujnym lecie na łapkach mgły zbliża się brak.

Początek swój bierze z pragnienia. Jest widzeniem odjętym spojrzeniu. Czystą, bez skazy, mija wzrok, słuch i dotyk.

Cała moc październikowego dnia w bezmiarze rozkładających się osobno głosów. Powietrze nieruchomiało, tylko obawa mej niecierpliwości mąciła jego życie wewnętrzne.

Zaczekaj jeszcze, nim miasto na zawsze oddali cię w nowe dzielnice wyczerpanego serca.

A jednak nie pokonam słowem tej wielkiej przestrzeni.
Nagle między nami się ona codziennie otwiera.
Nie znajdę miejsca w ramionach, w powietrzu, na ziemi.
Ani nie pojmę czasu, osoby, ni imienia.

Milknę o tobie w każdym nowym słowie. Nie poznaję już głosu, myślę strony miasta, mijam czas przyczajony w wykroju powiek, zdaniom odmawiam form jednoznacznych ty, do ciebie, tobie.
Na ziemię i niebo, na dzień otwarty i chłodną noc szukam słów.

Jaki bezwzględny i nieczuły przemija w ruchu warg człowiek.

Elegia

A. B.

Czas mozolnie przesuwa kolejne ogniwa
skrzypiącego łańcucha i chłód studziennej wody
drażni nozdrza nim usta dotkną krawędzi kubka;
jeden tylko dźwięk, chrzęst ciągniętego w górę wiadra
wypełnia sobą wszystkie gwizdy, trela, szepty i ćwierkania
niespokojnych ptaków; muskają skrzydłami co niewidoczne,
to nabrzmiałe ciało rozpalonego powietrza i ono drży
obnażone, pulsuje linią bioder, lecz nie spada boski
obłok, drzemią nawet bogowie; tylko z głębi dobiega
studzienne poszeptywanie osypujących się atomów piasku,
na włosy już zbieleły, na powieki, wargi, piersi
jak przyływ wezbrane, na stopy nagie i nie ma ratunku
na to wieczne, od zawsze i na zawsze, w środku życia,
obumieranie; gdy błyszczą krzemem suchy kamień, gdy źrenica
utrwała zarys pochylonej nad nią twarzy, gdy huczą światła
i milknie pamięć, gdy tyle życia wynosi w górę wysoko
pod otwarte nieba rozzuchwalone lotem ptaki, gdy krew
się burzy i ścięta gałąź wypuszcza ciągle nowe pędy,
gdy wszystko pragnie, drży, gdy się odsłania i ufnie powierza,
napięta skóra nie ma ciała; więc czas się wypełnia
wszystkim czego odtąd będzie brak, syci go czuły dotyk odjęty
wszędobylskim palcom, z zakamarków, ukrytych poruszeń,
znaków intymnych i tajemnic esencję żywą zbiera czas,
język niepomny jeszcze się trudzi, słowami kusi
ciało mowy, jeszcze błagania, szepty, żale, choć wszystkim
gramatykę nową układa już ten trzeci, co zawsze pośród nas
nie wiem chłopiec czy mężczyzna, tam gdzie ja i ty, teraz
i zawsze mozolnie przesuwa kolejne ogniwa ten trzeci
między nami jak chłód studziennej wody.

4. 09. 88

Gdy głowa twoja

Gdy głowa twoja jasna opada na poduszki
i ciało nagie dławi dreszcz
obłoku lotny mowa drzew
w oczach kochanków
skryjcie mnie

Dedykacje

Gdy w powietrzu wybrzmiało ostatnie słowo, próbowałem raz jeszcze pobiec do początków mowy, gdzie dopiero w załączku wiązał się wolno terazniejszy czas. Gotów byłem na ogień i wodę, na cztery żywioły i wszystkie strony rozdać swą mijającą obecność. Ale słowa zdołały się oprzeć i nie odstąpiły granic milczenia.

Biodra i wargi nas pojednały, skóra do krwi wchłonęła czuły zapach, żaden dotyk nie był zakazany, a teraz nie wie, że zwodzi pamięć i myli imiona.

Kiedy dotyka drzewa drży ono i pod suchą korą każde włókno na moment zamiera.

Moja niecierpliwość i tak jest bezradna, bo nie znajduje skrytych przejść do odwrotnej, ciemnej strony płynącego przez twą krew serca. Nie utrzyma się na nim moje spojrzenie.

Jestem tylko oddechem, jestem tylko dotknięciem, nie zajmuję miejsca w przestrzeni.

Od strony do strony, od słowa do słowa wyczerpany milczeniem, słyszalny jak westchnienie ziemi, gdy gwiazda ją odprowadza długim pustym spojrzeniem.

W milczeniu

Wspólna obecność, dokąd nas prowadzi? Nadzieję roznieca i znów ją oddala. Mnie żłobi rysy, tobie uśmiech zbiera z twarzy.

Ciemny obrocie serca, chciej świadczyć za nami.

Nie mogę nadążyć, dotrzymać ci kroku. Po ulicach krążysz, w obcych mieszkaniach, gdzie krótkotrwała radość się rozpiera. A ja nie mogę potem przebić się przez mur rosnący twojego milczenia.

Jestem w pobliżu, ale ciągle też obok, każde me słowo tylko uszy rani. Wspólna obecność? – nie ma w niej nikogo. Słowo jak datek, otrzymasz je wszędzie, nawet za nic.

Rimbaud

To nie ma nic znaczyć. Zaledwie cichy pomruk burzy. W błazeńskiej masce pogłos nieznanego. Sens ma jedynie Liczba i Harmonia. Długi sznur krępych niewolników, beduinów żalosne śpiewy, gdy większy ciężar złożyć w ich mocne ramiona. To nie ma nic znaczyć. Dopiero teraz zaczynam swój prawdziwy sezon w piekle. Chory upadam pod krzyżem południa, zgnębiony raz setny przeliczam wrzaskliwą karawanę w iluminacjach potu. Ale pytam, kto by jak ja, wietrząc za burzą echo nieznanego, nie dał posłuchu coraz głośniejszym jego krokom. Wścieklej jedynie urągając ginącym widmom pomiędzy gwiazdami. Całą nadzieję kryjąc już tylko w chęci życia. W od wielu lat tej mojej sztuce stosowanej.

Z notatnika

krótkie sentencje
urywane słowa
nieodparta logika zdań pojedynczych

ton jedyny
surowy jak głos piszczałki
w pieśniach pustynnych

słyszany raz
przed laty

to chyba więcej znaczy

płytkość światła dzisiejszego poranka
filtruje mroźna zima śnieg zalega ulice
drzemiącego jeszcze miasta i nieruchome
przesuwa się wolno pod niebem olbrzymim

potoczystość mowy
architektura ksiąg
papier sycony cedrem

to włókna popiołów

tylko błyski
urywane słowa

to najwyżej

Węzły rzek

Drzewom podobny. Bezlotny, glinie i ciężkim piaskom przypisany. Wczepiony kurczowo w to, co mu dane, nie szuka miejsca obok, wydaje mu się ono niepodobieństwem. Nie skrywa swego cierpienia, wie że ono wyżej idzie, aż wchłoną je nowe owoce. Wiersz zabiera poecie nawet jego śmierć.

Mapa. Ulice odległych spojrzeń, miasto miłości ze wszystkim co ono w sobie na zewnątrz i wewnątrz zawiera, kraina uniesień otwarta na wszystkie strony, chronią ją wzgórza przyjazne i domowe morze, wiążą węzły rzek, na brzegach podnoszą się zimne mgły pamięci, ziemia przejrzysta, w kuli zamknięte przestworze, jedyna rzeczywistość pragnień, których mapę rysują przyspieszone obroty serca.

Pisma pośmiertne. Oczy tak łatwo gubiące mnie z pola widzenia, usta wsłuchane w szum nowych słów, dłonie odjęte moim pragnieniom, co mógłbym dla was uczynić? Sam jestem nieobecnością.

Biała chimera

Plac ratuszowy przecina w pośpiechu, po przekątnej jasnego kwadratu, młody mężczyzna i staje nagle u podnóża przesłonecznionych murów kościoła Marii Panny, którego wieże ujrzał z nienacka poruszone pyłem słonecznym.

I rozchwiała się cała pewność jego dojrzałego ciała, ostrożnie dłonią przeciąga po spękanych murze i palce obcymi nazywa wyrazami, i bełkocze ciemnym słowem nagle nieprzydatnego języka.

A smugi spalin sączą się między drobinami wirującego powietrza.

I szeleszczą wiosenne płaszcze przechodzących ludzi, i głosy krzyżują się bezładne między ciasnymi ulicami, gdy miasto poruszone tratuje biała chimera, czego nikt, prócz stojącego niepewnie mężczyzny, nie widzi tak dotkliwie, tak przenikliwie przedpołudniowej wiosennej niedzieli.

Kilka wyrazów

To, co przeżyliśmy
zdarzyło się naprawdę.
Nie były urojeniem
nasze przyziemne lęki
i codzienne obawy.

Nasze twarze naprawdę były zmęczone,
a nasze nadzieje niezbyt pewne siebie.

To, co przeżyliśmy
zdarzyło się naprawdę
i zdarzyło właśnie nam,
których pragnienia
wybierały kilka tylko wyrazów
z ludzkiego słownika.

13. XII. 1981

Słońca owadzie

Tak nam dotąd niemiłe nocne owady niech wylecą z jaskiń,
przerwą zasieki pajęczyn i uwolnią więzione w nich okruchy mowy.
Owad–ptak i owad–pająk,
których pieścizotliwego dotyku baliśmy się najbardziej,
przeczuwając w nim ślepi obecność powstającej śmierci,
niech kontynuują swój triumfalny taniec!
Przypatrzmy się trwającej wokół nas potyczce:
jak radośnie, jak radośnie łamią się kruche skrzydła,
wysuszone odwłoki przysypane kurzem.
Trwożą i przyprawiają o szaleństwo tych,
którzy zagubieni w świetle dziennym,
tracą pamięć w zakamarkach mowy. A one
tańcząc przerzucają cudowną księgę abecadła i
tańcząc strącają ją w przepaść dotknięciem,
muśnięciem stopy zmienionej w zgrabny rogowy pantofelek,
tańcząc wirują i upadają w gęstych światłach owadziego słońca...

Postać napowietrzna (1977)

Dasi

Ta wiosna tak umyka jakby jej wcale być nie miało!
Jakby jej postać napowietrzna,
cieniem zimnych chmur strąconą
z gałązki ulistnionej
skryć ktoś zamierzał pod cudzymi powiekami
niby sprzeczność czystą.

Tak ona umyka.
Pazurkiem zmrożonym tropy na śniegu rysuje
i tylko melodię jej przysłała,
dziś
w tysiąc łkań rozprysła,
jak śpiew ranny ptaka, jak pogoni granie
słyszysz pulsującą
za horyzontem najbliższym.
Za Wisłą.

Tak oto zima jeszcze bierze odwet srogi
i chmury nisko między brzegi goni.
W ten dzień bez wiosny
gałązkę leszczyny nie w porę rozlistnioną
ściga głos kobiecy nocną nagością nadal odmieniony
i bezbronną,
spod śniegu tak czule odkrytą,
do ust podnosi.

I nagle widzisz tak dotkliwie blisko:
przemyka w ruchu warg nagie ciało pogody!
I już obie postaci
żywa i zjawiona
odbiegają na szczyt skarpy wysokiej
ginąc w oddechu zmrożonym.

Jakby ich wcale być nie miało.

Przed sobą masz tylko górę tamską
w śniegu całą.

W jedwabnych światłach Waterloo Station

Są Japończycy, ich nowe dzielnice, Hindusi trudniący się handlem, Tajki o nowej urodzie i misternie plecionych włosach, ale rześkie powietrze obnażonych peronów niesie aż tutaj echa miłosne pasterskich scen. Minąłem kilka niżej leżących krajów i teraz głębiej otwiera się czas. W jedwabnych światłach Waterloo Station sztucznie karmiony znieruchomiały patrzy dzień.

Paście się, paście, gołębie moje, pod ciężkim niebem z barwionego szkła, dryfuje w nieznanie odepchnięty od wyspy kontynent, lasom i wodom pamięć oddaje założenia miast.

Dom Johna Keatsa

Co zostaje?

Nad głową biel sufitu
i łuska tynku odpadła od ściany.
Żadnego wołania.

Co zostaje?

Łóżko sztywne wysoko zasłane
i mucha która wolno idzie po martwej pościeli.
Żadnej litości dla zdumionych ludzi.

Za oknem skrzypi drzewo
w srebrzystoszarej korze bukowej.
Głosem ściszym toczą się rozmowy.
*I młodość blednie, schnie, przygasa co dzień,
i troski żale ciężą ołowiane.*

Drzewo wycięto przed wielu laty
i odtąd stoi ono niewzruszone.

A słowik
skryty w gęstym listowiu suchego powietrza
woła, niestrudzenie woła,
mijających ludzi.

Poeta w niebieskim kombinezonie roboczym

w jasnym piekle niedomajaczeń
śnionej jawy niedomówień
rozłupany przez ciemną perłę wzbierającej pół-nadziei
bezdolny i bezrobotny w miejscu
w którym zadomowiona jest śmierć tylko
w kuchniach wielkich restauracji
przy ich olbrzymich paleniskach
pod jękającymi się sylabami świetlnych reklam
europy które oszczekują tonące w rwącym nurcie gwiazdy
poeta w niebieskim kombinezonie roboczym zawodowy
tragarz i sprzątac w barach i bufetach klubowych
wzniesła pożar świata i w uniesieniu chłonie
sygnały alarmowe doganiające go zewsząd

nie tylko przeczuwa ale widzi i opisuje
na przykład to miasto przez rzekę zepchnięte
na szczyt skarpy wysokiej gdzie słońce
przebiegając na dachach zapala miedź i zielen
srebrny połysk piersi dziewczęcych
porywanych łamiącą się falą świateł miejskich
unoszą w swoim krystalicznym wnętrzu woń
parujących wiosną łąk karkołomny taniec
wirującego w rozedrganym powietrzu krajobrazu

podśłuchuje rozmowy w barze milcząc zjada
suchą bułkę z sałata i serem wodzi oczami
za pyłem wirującym w wąskiej stróżce światła
wynosi skrzynki opróżnia pojemniki na śmieci
podśłuchuje rozmowy zestawia stoły ustawia
na nich krzesła zwija chodniki wykonuje tysiąc
innych czynności krztusi się w tumanach kurzu
podśłuchuje rozmowy sprząta wielkie sale
wyłącza z sieci gigantyczny agregat i zamiera
serce europy myje poplamione rdzą kontuary
gasi gaz w palenisku ściemnia światła
wychodzi

poeta w niebieskim kombinezonie roboczym
palacz obsługujący sprawnie największe paleniska
europy chwilowo bez zajęcia
po raz nie wiadomo który wyrzucony na bruk
bezsenny przebiega miasto do ostatniego tchu
rozbieganych na niebie świateł
liczy układające się we frazy poematu
odciski ognia na dłoniach wciąż ukradkiem
przemykający się przechodzień
tyle spraw tyle rzeczy do wypowiedzenia

on przemyka się zaułkami osaczony nieprzenikliwym
kordonem syren sygnałów dzwonek alarmowych
uskakuje spod kół goni go życzliwy chór
wołających uciekaj uciekaj tylko uciekaj
zapomnij imię i nazwisko zapomnij wszystko
i tylko uciekaj jeśli ci życie
miłe

awanturuje się o kieliszek wódki nieostroźnie
rozlanej przywołuje na świadków wszystkich gości
wszystkich barów europy upija się kokietuje
barmankę obietnicą dalekiej podróży do bliskiego
kraju śmieje się do własnych myśli wsłuchuje się
w dalekie nie milknące głosy płacze gdy krótkonogi
pomylony kombatant krzyczy patrzcie złotouści
idę się utopić i nikt nie odwraca nawet głowy
modli się modli akcentując słowa uderzeniem
pięści język mój nareszcie swobodny mogę odstąpić
każdemu na pniu niech tylko głowa potoczy się
pod ciężką bramę snu

oto gorzkie dary wyniesione na światło dzienne
dobijające się swych praw sponiewieranych
wyrzuconych poza nawias serca które dusi się
w strzelistym potoku krwi
zwycięzcy z pola bitew wracający boso
umierający w pogoni w klinikach dla psychicznie
chorych w listach w listach oczekujący jeszcze
wieści do ostatniego tchu uciekający pod osłonę
wierszy

w czasie dogorywającym i oniemiałej
do skrawka rodzinnej ziemi ciemnej przestrzeni
poeta w niebieskim kombinezonie roboczym
wybiegający o poranku wdrapuje się na olbrzymią
hałdę puszek opróżnionych butelek zbędnych
skrzynek firmowych drutu blach rozbitych karoserii
szmat papierowych worków i z tego gigantycznego
rumowiska przekazuje nam wieść o trwającym już
pożarze świata

potem wraca w śmiertelnym olśnieniu
pod chłodem go tulący dach wiosennego poranka
i błogosławiąc idącą wreszcie chwilę bez pamięci
w milczeniu żuje mimochodem zerwany
listek czeremchy

Dedykacja: Marianowi Czuchnowskiemu, 1974

Upadek

ciepły sen zaszczyty
wysoko ranna struna krwawi i skóra poranka
dźwiękiem światła ślepi postać w nim odbitą
kroplą deszczu dławi na pocieszenie
gwiazda zmartwychwstanie pod blizną języka
i poprowadzą cię w jasny poranek
skrajem snu nad przepaścią jawy

ciemny grymasem słońca rozdarty już ostatni
świadek wypluwasz ten drgający na ostrzu słońca
strzęp języka i niemo się toczysz w tężejącą ranę
jawy

Głód języka oszukany

Głód języka został oszukany:
nie ma miasta, ale obłoki spienione gonią jego zarys
i dźwięczą przenikliwie ogromniejąc nad głowami.

Można więc widzieć i opisywać nawet
chłopca podbijającego kolorową piłkę w samym centrum
wychłodzonego targowiska ścierającej się z powietrzem
przestrzeni.

Gonić jego nie milknący głos, napęlniający echem
o wzrok oddalone ogrody.
Można mówić, układać zdania, nie dać spocząć językowi
aż zostanie wysłuchany.

Jakżeś ty piękne miasto, którego nie było,
które zwiastował tęskniącym w obłokach pył ceglany,
jakżeś ty piękne, kiedy z próżni wstajesz, tak ufnie
poddając się dźwięczącym krokom tamtej kobiety
w czerwonym berecie biegnącej teraz
porannym trotuarem.

Emigrant z Latimer Road

Nie wspomina nic, prócz złej pogody.
Zawsze ulewny deszcz, albo wiatr przewiewający
Odzież. Kiedy indziej deszcz ze śniegiem
I lepka maź wciskająca się w podeszwy.

Nigdy odrobiny słońca, podniesienia twarzy
W stronę ciepłych promieni, ani znużenia
W upalne południe, gdy krążą w pobliżu
Rozdrażnione osy.

Czarna sylwetka zgarbionego mężczyzny.
Jego ramiona z trudem przeciskają się
Między szczelnymi warstwami zimnego powietrza.
Schodzi w dół, spadzista ulica przyspiesza jego kroki.

Wersja próbna

rozmawialiśmy długo unikając cienia
rzecz była o książkach skrzydłach motyli
barwnych okładkach epoki zamętu

czas się posuwał skokami
i rosły puste przestrzenie
między zdarzeniami

naprawdę chcieliśmy niewiele
tego uczy dyscyplina
rozczarowanych

on mówił z wolna z rozsądnym umiarem
dobierając słowa gestami znacząc w powietrzu
pytania

naprawdę pragnęliśmy niewiele
krążyliśmy wokół domu starego poety
i jego nieobecny cień rósł między drzewami

wyszliśmy właśnie zza kulis zdemolowanego ogrodu
od szosy dźwięk jakiś wzleciał zawisł na moment
i przepadł za nami w zarośniętym stawie

podeszliśmy bliżej zgarbiony mężczyzna
prowadził pod górę zepsuty motorower
czas się posuwał skokami

Inny głos

Mogłyby zostać strzaskane wszystkie obrazy
cień drzewa drążący wyrwę pośrodku hałaśliwej ulicy
koń na skraju dalekiego przedmieścia wyzywająco wolny
dla którego to uciekałem z domu tłumiąc strach
gdy o szkliste powietrze rozbijało się wysokie rzenie
brąz kobiecego ciała na pół wychylonego z okna
w połowie wakacji gdy wczesnym rankiem słońce
dławiło się ciemnym szklivem mego głodu

Mogłyby zostać strzaskane te dwa trzy obrazy
które nie przemijają mimo coraz większego wokół mnie
chłodu a tylko dla uszu jest udręką ten wysoki ton
niekobiecy inny głos mimo że realny aż tak dotykalnie
zjawiskowy

Życiorys (1979)

w moim domu rodzinnym jak tylko pamiętam
nie było biblioteki ani też cennych obrazów
na ścianie przy łóżku zielono lśniły wieże marienburg
i ktoś uskrzydłony nie pozwalał dziecku wdrapać się
na zarosły dzikim winem mur
wszystkie książki ojciec spalił czterdzieści lat temu
i odtąd uznanie miał jedynie dla sztuki
upinania włosów i uprawiania ogrodu
och jaki ojciec był przystojny w nowym mundurze
mówi matka i przymyka oczy
czasami tylko ojciec sięgał po skrzypce
i długo w milczeniu próbował dźwięku
dawno rozstrojonych strun
och jak ojciec twój pięknie maszerował w nowym mundurze
a potem musieliśmy uciekać spać w polu przy drodze
wróciliśmy późną jesienią dom stał nieporuszony
u sąsiadów z naprzeciwka pocisk armatni
wyrwał ścianę sypialni
twój starszy brat wkrótce biegle mówił po niemiecku
bawił się z dziećmi sąsiadów w ogrodzie
gdy wojna się skończyła zapomniał nagle wszystko
z dnia na dzień

* * *

Ten płomień śmierci, co się w nas
dopala... Od dnia pierwszego, kiedy rozbłysła
biała gwiazda mitu, żołnierską włócznią
prawie w proch rozbita, znowu w nas
się scala.

W krzyku szyderstwa jakby się odradzał
daleki pomruk głuchej błyskawicy, co nocą
potrzaskana, z nagłą gdzieś przepada
ciągnąc za sobą echo słów:

Galilejczyku, Galilejczyku...

Drzewo Horacego

pamięci Z. H.

Zawisł nad nami pierzasty obłok ciemny
kosmyk włosów zgarnięty z czoła umarłej

niech ją unosi słoneczne przestworze
wysoko piersi jej wargi
spod zimnej chmury wyświetlone

stoimy w milczeniu
przed nami biała topól drzewo Horacego
rośnie w oczach pod płytkimi snami

wyżej głos
jest
ale czy się oddali

Czechowicz

Starodrzew chroni. W cieniach niezliczonych
trzepot ptasi. I podmuch chłodu od Bystrzycy
wyostrza kontury widoku.

Związły jak zdanie wiersza. Szczelnie zamknięty w sobie.
Chcę, żeby tam był!

Czechowicz wstaje. Rozsuwa zasłony.
Za oknem miasto w porannych łunach
i czas już na wieczność człowieczą
nie spełniony.

Chroń nas
ziemio łunna,
ziemio drzewna,
ziemio rzeczna

w trwaniu przyszłym
już tylko obłoczna

i napowietrzna.

2. 05. 1990

W upalne dni

w upalne dni
schodzącego za ścianę osiedla
czerwca 1983 roku

na przemian rośnie i obumiera
przezroczyste drzewo
rzeczywistości

jestem mówi pomiędzy
tu i tam powyżej i poniżej
ponad i obok
w glinie ciemnej i powietrzu suchym
jednocześnie

dotknij mnie choćby wzrokiem
a potwierdzę i twoją obecność

nie obawiaj się
schowany w nieruchomym oku

drzewo rzeczywistości
przyrównuje się do ciebie
i nawet zazdrości nie znanego mu daru
ucieczki

On wspinający się po kamienistym zboczu

On wspinający się po kamienistym zboczu
unosi z rzeki kroplę ciężką co mu się w skórę wciska
i światło kusi w krąg stojące
by poruszone stopą lekko
w ten jeden punkt się zbiegło.

Natura już uspokojona i drzemie w piasku bestia płowa,
nic nie porusza raf podziemnych
i cień pochłania miasta, ludzi, drzewa.
A oni, tchnieniem wiatru zachłyśnięci,
w szklistym powietrzu upadają piosenkę nucąc
o jasnym dniu co się nie zmienia
w noc hipnotyczną owadziego przerażenia.

On całe światło świata dźwigając na swych szczupłych
chłopięcych ramionach, wspina się po kamienistym zboczu
rzeki unoszącej kwiaty, szczątki owadów, pióra ptasie
i cały obolały nadmiarem światła zastyga na moment
stopę wpierając w blok połyskliwego powietrza,
i pochylony wyłuskuje żwiru ziarnko uwierające między palcami.

I trwa tak na przekór wirującemu czasowi,
nic go nie odmienia,
pozostaje przez lata czujny chłopiec nad rzeką
z ciałem przez światło pokąsanym,
daremnie wyglądając zbawiennego cienia.

Lustro

ten obcy mężczyzna z ulicy rabińskiej
idzie przede mną jakby płynął
na plecach dźwiga kryształowe lustro
ramionami odpycha powietrze kołysze się w nim
coś na kształt świata brama klasztorna wysoka ściana
i jakby skrawek zielonego obłoku
znika za załomem ulicy odwracam głowę
nie ma świata wirują w ciemnościach
suche drobiny powietrza

Brama ogrodu

brama ogrodu otwiera się na zakole rzeki
dalej wysoka skarpa i jeszcze wyżej
suchy las

zrujnowany z wielkimi szczerbami
w pień wyciętych drzew

boso
wycierając starannie ręcznikiem
twarz kark i ramiona
stoję w świetle nagi

jak bym wrócił z długiej wędrówki
nie widząc po drodze
co może czas

zamknięty ścianami ogrodu
głosem ptaków wtórował
rytmiczny stukot
obracającej się w ciele

krwi

Elegia dla Tadeusza Sułkowskiego (1907-1960)

Owczą ścieżką obok domu, gdzie w każdym sprzęcie inna
pora otwiera wejście w czysty świat, w najłagodniejszy cykl sezonów.
Och, ciężkie życie i proste niebiosy, w ptasim rozgwarze lęk
sumienia, powoli schodzę z wzgórz Hampsteadu, pasterski
zawsąd śpiew klaksonów przystanki autobusom w źródła zmienia,
poi sielanką nowe stada.

Ten brak hierarchii, ludzi, zdarzeń, różowy pobłysk w wnętrzu
chmury, ile minęło pokoleń ptasich w koronie gęstej domowego
drzewa. Ton raz podjęty wstrzymuje dotąd rozpad czasów,
wracam do siebie, jestem – chmuro – z kraju innego, z ziemi
gwałtownych przeobrażeń.

Poeta na brzegu wielkiego jeziora

Po latach wyrzeczeń i ćwiczeń
ułożyć chciałbym jeszcze
odę do bobra i elegię
poświęconą Eskimosom.

Oślepiło mnie światło wielkiego jeziora.

U jego brzegów spędzam teraz milcząc każdy dzień.

Nie pamiętam miasta dzieciństwa
gdzie na wieży furgotał blaszany kogucik.

Słyszę jedynie cienki srebrzysty dźwięk
z jakim piasek odtrąca tutaj przyływ fali.
Te równomiernie rozkładane akcenty
przychodzą niekiedy ze słowami.

6. 03. 1995

Zmierzaliśmy tu

zmierzaliśmy tu przez usypiska czasu
lotne piaski zdarzeń
powstające z martwych i na powrót
niknące pejzaże

kto nie wierzył zostawał po drodze

pod rozłożystym drzewem
w cieniu zimnych chmur
znużeni zapadali w powrotny sen

ale myśmy doszli

wbrew rozumowi który ostrzegał
wbrew podszeptom i głosom wąpiących

i oto jest

ani w blasku słonecznym
ani pod szeroko rozwartym niebem

przyduszone nisko zawieszonymi obłokami
szare jak bryła cementu kruszejąca na mrozie

Jak było (I)

Trzęsienia ziemi, przybór wód oceanów,
wulkaniczne kontury nowych wysp –
daremnie były oczekiwane.

Żadnych wojen, masowych śmierci, rzek wypełnionych
ciałami pobitych.

Nie spełnił się ani jeden z głoszonych wyroków.

A jednak stało się, bo mówiąc, mimo widocznego wysiłku,
inne wskazywaliśmy rzeczy, nie te wokół nas
i niezrozumiałe były dla obcych nasze,
pojedynczych ludzi, pragnienia.

Aż ujrzeliśmy się skazani na to tylko
co naprawdę wspólne:
na płacz i na śmiech i na ból.

Jak było (2)

Tyle wróżono, tyle widziano znaków,
tyle razy mówiono o ostatniej godzinie, na tylu rzeczach
kładał się zimny cień przestrogi –
aż zapomnieliśmy z wolna co jest prawdziwe.

Tymczasem świat trwał nad pojęcie spokojny
i wszystko wokół zwykłą szło obok nas koleją.

Rzecz więc się nie udała i zawstydzone moce
wracały w kamienne wnętrza ziemi.

Zwyczajnymi głosami mówiliśmy do siebie
ufni że nic nie odejmie nam
odzyskanej mowy.

Dzwony i trąby

Pamięci Jana Palacha

W tę noc na placach wielu miast zapłonęły
Niecodzienne ogniska. Pochodnie naszego wieku
Przyćmiły blask spalającego się południa.
Ich boleśnie obejmujące płomienie przesycone
Zapachem benzyny atakują niebo zimowe
I jego krucha lodowa powłoka załamuje się
Z trzaskiem nad naszymi głowami. Oto obrazy,
Których nie śmiem przywoływać na pamięć.
Pochodnie naszego wieku dopalają się
W nierealnie pustej, wychłodzonej jak niebo zimowe,
Przestrzeni.

W tę noc doganiają mnie spłoszone lęki
I na szyi zaciska się powstająca pętla
Horyzontów.

1969

Porwał mnie bieg wydarzeń

Porwał mnie bieg wydarzeń.
Teraz w każdym z nich szukana cząstki siebie.

Rozgrabiony przez czas.
Roztrwoniony przez tulskich i przyjaciół,
a także przez tych którym nie umiałem odmówić
swej obecności.
Zaczytany przez książki.
Milczący przez zachwyt, gorycz i nadzieję.
Jestem.

Jestem
suchym szelestem ruchliwego powietrza,
które wciągam do zmęczonych płuc.
I nie wiem
dokąd te drobiny pędzą.

Miesiąc; tydzień; doba

Zostało podobno już niewiele czasu.
Mówi się o dniach. A nawet tylko godzinach.
Miesiąc; tydzień; doba – czas nabiera ciężaru
wymiernej rzeczy. Tyle go ile powietrza
w czterech ścianach ciasnego pokoju,
ile oddechu w zmęczonych płucach, tlenu we krwi.

Papież, raniony w zamachu, opuszcza dziś klinikę Gemelli
i z okna biblioteki błogosławi trwający nadal świat;
słońce myszkuje za plecami moimi na grzbietach książek,
cień wyciągniętej ręki przecina ekran telewizora.
Miesiąc; dzień; doba p r z e d
a może doba; tydzień; miesiąc p o

świat skończył się gdy ja, odwrócony, zapalałem papierosa,
przewracałem kartę książki, sięgałem po pióro

i teraz tylko odbicia rzeczy zajmują mą uwagę?

1981

Telefon

Telefon dzwoni
I zew płci daje znać o sobie
Twój głos schrypnięty od śpiewu
Wprawia mnie w drżenie
I nieulękły lew jakim jest moje serce
Dygocze

(J. Mansour)

Jesteś moim upadkiem

Jesteś moim upadkiem, ślepym trafem spadającym niespodzianie,
upadkiem podniesionym do godności mowy, przepaścią poza
słońcem,

języka rozwiązaniem.

Zawsze we dwoje, zawsze na wpół w czerni, na światło czuli,
więc rzuceni w ciemność.

Poeci

mają wiele do powiedzenia ale
coś ich wstrzymuje przed otwarciem ust
obcy jest im ton poufalej rozmowy
kiedy wszyscy już wyszli a tylko
nisko przesuwany się za oknem cień
spłaszczonego światłem drzewa jest
powiernikiem lęku przed idącym nieubłaganie
dnem

sny mają zwykle jakie śni wielu
ktoś goni ich a oni stoją do utraty tchu
czasami tylko w nerwowym drzeniu ręki
odstawiającej pustą filiżankę
w grymasie spierzchniętych warg
ucieczce oczu można dostrzec
jak skrada się do nich
metafora jeszcze głębszego milczenia
konieczny do napisania wiersz

Na karcie pocztowej do syna

Alle Menschen sind Ausländer. Fast überall.

Nocą i we dnie wraca tu do mnie uporczywy sen:
rozległy sad, niebo aż białe od kwitnących drzew,
stoliki wokół, przy nich kobiety i mężczyźni
mówiący do siebie w niezrozumiałym dla mnie języku.

Przechodzą potem pod drzewami
jakby szli po wysokim moście,
by zginąć w zarzecznej mgle.

Wszyscy jesteśmy cudzoziemcami. Niepewni
znaczeń miejscowego języka, codziennych pułapek
obcego obyczaju.

Nie urodziłem się tu a serce przyspiesza
swój rytm gdy w kawiarni dworcowej piję
herbatę z mlekiem i odczytuję znajome domowe sentencje
na lśniących białą ścianach.

A tam
zmiennie pogody, nisko przelatujące chmury
i zimne światła pomocnej równiny.

Wracam do siebie z sobą nie pojednany.

Książka twoja

książka twoja czytana jednym tchem
na jednym oddechu krótkotrwałej nocy
zaraz się skończy

potem już tylko ruchomy dzień
korowód rzeczy obecnych jak za szybą

więc krótkotrwała noc co przewraca karty książki
to ostatnia wyprawa ratunkowa
by zaciążył w dłoniach
rzeczywisty jak biała stronica
świat

(Krzysztofom G.)

Tamte lektury

Tamte lektury:
Cezar, Wergiliusz, Marek Aureliusz
i zawsze Horacy.

W czerwonym domku na palach, gdy księżyc
liżąc świeże ryby smarowane oliwą
wysrebrzał plaże Gruisson;
na brzegu Cisy; w milczeniu równin zawałonych śniegiem;
w oślepionym pokoju krakowskiej kamienicy.

Kontynent umierał, walił się jak wielka cuchnąca ryba
na jasne plaże, wysokie góry i ciemne mieszkania.
A oni wolno, z namysłem ludzi spokojnych, obracali
zapisane stronice przemyconych książek.

Czerwone domki zniosła fala
w ciemnych wodach zamknięte na wieki
niskie nieba Pokucia,
jodły i świerki z brzegów zapomnianych rzek.

Teraz widzisz, co może los,
gdy księgi pisane
martwym od pokoleń językiem
budzą do życia zapomnianą umiejętność.

Skóra węża

Nagie oko łzawi. Czas już, czas, więźniu wyobraźni.

To prawda. Nic nie zostało odsłonięte. Ani wyjaśnione. Gałąź żywa odpada od drzewa, w milczeniu drżą ściany i podłogi, gdy spada na nie czuła noc, na niewiadome wychodzą z domu ust nowe słowa. A jednak.

Drzewa stały, dzieci biegały, jaśniały światła między domami. Dyszały cicho podziemne nieba, mącąc wodę z odbitymi w jej brzuchu obłokami.

Doprawdy nie wiem jak pożegnać młodość. Miłość już wcześniej nią wzgardziła. Dzień dobry, tobie, co chwile zwiesz łachmanami czasu.

Jestem ale czy stać mnie na więcej? Zajęty dotąd kilkoma szczegółami, gwałt zadawałem spragnionym oczom.

Wie, że są słowa, których nie należałoby głośno mówić, a tym bardziej zapisywać. Jednak nie może oprzeć się pokusie, zbyt ścieśniony w granicach jednego ciała. Żyje przecież małą nadzieją.

Głosy chóralne, spojrzenia parzyste, piersi dwoje, podbrzusza sobie przeznaczone. W czasie skłóconym wszystko ukryte w głoskach zapomnianego imienia.

W oczu zimno zajrzał los: świat symetryczny. Drżnij serce. I tak jesteś tylko pogłosem bólu innego serca.

W cieniu przejrzystym domowych drzew, u boku wieży, urodziłem się na wzgórzu. Losie zaczęły, zostaw mnie.

W światłach wysokich, w trawach surowych, w dłoniach kobiecych skóra węża.

Stoi gotowe. Drzewo Judaszowe.

Prawie podziemny, goniąc pełnią słońca

Prawie podziemny, goniąc pełnią słońca, w tej, na pół-goryczy
pokonując ciemność czułym blaskiem śmierci,
żeby wznieść się wyżej
i w locie odmienić.

Potem zapaść się pod ziemią
u korzeni roślinniejąc z nagłą
rozproszyc w powidok
ten widmowy kształt na moment trwającego
pół-oddechu niby-człowieka.

Nowy świat

Romek Szymański, szesnastoletni niedorosły poeta
spaceruje od kilku dni w pobliskim ogrodzie
paląc papierosy marki rarytas.
Zapach ich dochodzi do mnie poprzez szczelnie
zamknięte okna i wzbija się w pokoju kiedy wywracam
kieszenie wytrząsając z nich urojone okruchy tytoniu.
Tak więc umarli wracają do naszych domów,
schodzą się ufni w przyzywający głos nostalgicznej
gwiazdy wakacji bez specjalnych zapowiedzi inaugurując
początek nowego sezonu.

Taaak – to jest nowy świat
fikcji przemienionej w realność.
Wyobraźnia nie ma nic do tego.
Dogania cię punkt nieruchomy
i cudze słowa już odtąd brzmią jak własne.

Dotkliwy chłód wieje od kłębiących się w powietrzu obrazów.
Poranek coraz szerzej otwiera swe przekrwione oko
i łza czerwona marszczy biały piasek plaży.

Co w tobie najcenniejsze

Nawet za cenę krystalicznego światła
prostującego zrytą trawę łąki
za cenę wzorzystych sukien zdobiących
pokasane ciało za cenę zimnego strumienia
łask za bezcenną koronę uspokojenia
za triumf weselny pszczoł ciągnących pełne odwłoki
metafor słów wydobytych z dna jasności
nawet za tę niewymierną cenę nie znieważaj
nie znieważaj tego co w tobie najcenniejsze
co pcha cię w sam środek wrzaskliwego targowiska
by unieść stamtąd strzęp pstrokaty
kawałek materii fantastyczniejący w lipcowym słońcu
niczym ciężąca nagle w twej zaciśniętej dłoni
grudka powietrza

Poznanie

Otwarłem szeroko powieki.
Tak mnie zaskoczył
nie dający się nigdzie umiejscowić ból.
Wszystkie rzeczy w jak najlepszym trwały porządku.
I były zrozumiałe, bo żadne podziwu.
Ani jednego najmniejszego nawet objawu,
że coś dzieje się nie tak, jak powinno.
A jednak rósł, osobny, nie wiadomo skąd, ból.
Jakby nie był częścią natury, ale spoza niej,
z jakiejś niewiadomej jeszcze kontr-przestrzeni.
Co zdołałem pojąć? Nic. Jedno otwarcie powiek.

Refren przebudzonego

budzi się miasto z płytkiego snu
powraca znowu w czas bez zdarzeń
obłoki toczą nisko głowę ściętą
i czerwienieją ciemno jak bandaże

Niebo przestronne

Na kość wysuszone słońce tegorocznego maja.

Drewniane z pragnienia głosy ptasie. W bezruchu.

Ukryta ręka kogoś kto nie jest stąd przesuwa po niebie
suche obłoki.

Przesuń się, chmuro

Pragniemy pozostać nieznani. Przesuń się, chmuro.
Tuż obok inna trwa pora. Ufne zwierzęta, mądrzy
Ludzie, powoli łagodnie los obraca kołem fortuny.
Wspólna obecność nie przeczuwa zmiany. Przesuń się,
Chmuro. Pragniemy pozostać, jak byliśmy, nieznani.

Widok

Wreszcie dał się widzieć:
martwy las świerkowy
na zimnej bez poszycia ziemi
obok rozebranego traktu kolejki wąskotorowej.
Było po burzy
rozłupane na dwoje drzewo zastąpiło idącym drogę
z gałęzi na gałąź sucha błyskawica przeganiała
krzyczącą z bólu
mowę.

Okno i drzewo

I. Patrzyłem
na mówiące do mnie usta
i nie słyszałem żadnych słów

Nie spamiętałem tonu
pogodny był czy niechętny
ani barwy
dźwięku nawet

Za wielką szybą zewnętrznego świata
ktoś mówił i wyteżał głos

Drzewo widziałem
wyraźne
jakby dopiero wyjęte
z krystalicznie czystego powietrza
jeszcze drżało
z delikatnym rysunkiem pojedynczych liści
i więcej nic

Kto mówił
po co
i dlaczego
wydało mi się nazbyt odległe
i mało prawdziwe

To chyba trudne
tak oczyścić pamięć
by nawet ci których potrzebujemy
mniejsi się stali od włókienka liści

2. Rano
drzewo za oknem
zdaje się być jeszcze bardziej zmęczone

obojętne i apatyczne
trawi samotnie swój niezrozumiały los

Jego popękana głęboko skóra
prawie odsłania
wyschnięte na wiór ciało

nawet schwywane w światła dnia
pozostaje w cieniu

Mam je teraz na oku
i nie pozwalam wymknąć się z pola widzenia
gdy monotony pochód sunących wolno drobin czasu

wprawia jego i mnie
w drżenie

3. Umysł dociekliwy
w gorzkim soku kawałka kory
próbuję odnaleźć smak i zapach
rzeczy minionych

Przeciera zaszłe bielmem szyby czasu
i odsłania kolejne obrazy
ledwo widoczne
jak zarys kształtów
ukryty w zwiniętym wnętrzu łuski nasienia
nie narodzonego jeszcze drzewa

Rozciera językiem cierpką ślinę
zebranych doświadczeń
z których tak niewiele wynika
głupstwo dalej głupstwem zostaje
a podłość nadal syci siebie
niewinnością bliskich

21. 04 – 26. 04. 1990

Wczesny ranek

Wczesny ranek. Co było ciemne, teraz rozjaśnione
Odsłania oczom czysty kształt. Wszystko zamknięte
W swojej zwężonej formie. Drzewa osobne, każdy liść
I źdźbło trawy wraca do pierwotnej postaci.
Jak każe czas, co rządzi obrotami krwi.
Byliśmy zaproszeni i dobiegła końca radość bogów.
Zamilkł śpiew. Rozwiał się zarys ramion,
Profil twarzy. Będą czekać pod płytą snu
Na ponowne wezwanie. Rzeński powiewie, ratuj mnie.

Wyrok

Eheu, eheu nawołują chłopcy biegnący ulicami
i bogowie schodzą z okolicznych wzgórz prowadzeni świergotem
coraz niżej kołujących jaskółek.

Na ciemnych, drzewami ocienionych murach myszkują słońca,
już tchu nie starcza, by dogonić tańczące plamy i koń się potyka
na wysokiej skarpie, gdy bogowie stroją cytry czerwonymi
w blasku rękami.

Eheu, eheu sypie się powietrze szklane
i ginie przenikliwy krzyk nadlatujących jaskółek
między toczącymi się z gór kamieniami.

10-12 kwietnia 1974

W rzeczach naszych

Szukajmy w rzeczach naszych cieni naszych.
Niech powiedzą, że czas nie panuje nad nami.
Światło poruszone miękko skrzydłem ptasim
Rozbiega się tańczącymi w powietrzu obrazami.

Oto nasz świat. W nim jesteśmy młodzi.
Budzimy bezsenni ciągle jasność dnia.
Nad opławieckim lasem noc znowu uchodzi
i jak gwiazda kusi obnażone kolano,
a ptaki się skrzykują
na pogodne rano

Spis wierszy

Coda.....

ANIMA. Wiersze nowe	
Anima	
Kostka domina (1).....	
Rzeczywistość	
Do Cyganki rumuńskiej zebrzącej na stopniach kościoła	
Kostka domina (4).....	
Wielka księga owadów.....	
W wiecznej chwale	
Kostka domina (3).....	
Album rodzinne	
Fotografia	
Kostka domina (8).....	
Grób Apollinaire'a (fragment).....	
Mazahua.....	
Do szpaka	
Kostka domina (5).....	
Czysty obraz	
Kostka domina (2).....	
Dar natury.....	
Kostka domina (6).....	
Wieczór autorski.....	
Kostka domina (7).....	
Ciało moje (2)	
CIAŁO MOJE. Wiersze wybrane	
Odosobnienie	
Po zmianie adresu	
Klucz dzikich gęsi	
W polu widzenia.....	
Milknie niebo	
Ból ciała... ..	
Refren oczekującego.....	
Szukałem znajdując	
Nowa ziemia	
Oda do słowika	
Ciało moje	
Mężczyzna którego widziałem dwa albo trzy razy	
W Kew Gardens... ..	
Głos i przedmiot	
Pamiętnik	
Dar	
Martwa natura.....	
Malarstwo	
Nic	
Życie wewnętrzne	

Mała elegia
 Autograf.....
 Szedłem z córką
 Podmuch zimowy
 Pytanie
 Sen
 Części mowy.....
 Elegia
 Gdy głowa twoja.....
 Dedykacje
 W milczeniu
 Rimbaud
 Z notatnika
 Węzły rzek
 Biała chimera
 Kilka wyrazów
 Słońca owadzie
 Postać napowietrzna (1977)
 W jedwabnych światłach Waterloo Station.....
 Dom Johna Keatsa
 Poeta w niebieskim kombinezonie roboczym
 Upadek
 Głód języka oszukany
 Emigrant z Latimer Road
 Wersja próbna
 Inny głos
 Życiorys (1979)
Ten płomień śmierci
 Drzewo Horacego
 Czechowicz
 W upalne dni
 On wspinający się po kamienistym zboczu
 Lustro
 Brama ogrodu
 Elegia dla Tadeusza Sułkowskiego (1907–1960).....
 Poeta na brzegu wielkiego jeziora
 Zmierzałyśmy tu
 Jak było (1)
 Jak było (2)
 Dzwony i trąby
 Porwał mnie bieg wydarzeń
 Miesiąc; tydzień; doba.
 Telefon.
 Jesteś moim upadkiem
 Poeci.....
 Na karcie pocztowej do syna
 Książka twoja
 Tamte lektury
 Skóra węża
 Prawie podziemny, goniąc pełnią słońca

Nowy świat
Co w tobie najcenniejsze
Poznanie
Refren przebudzonego
Niebo przestronne. . .
Przesuń się, chmuro . .
Widok
Okno i drzewo.
Wczesny ranek.
Wyrok
W rzeczach naszych . .